

MOJA DROGA DO 2. KORPUSU POLSKIEGO

Lida, jedno z miast mojego szczęśliwego dzieciństwa i gimnazjalnej oraz harcerskiej młodości, śniła mi się często w długie zimowe noce z 1940 na 41 rok w kirgiskiej wiosce-kołchozie Ak-Kul. Mimo strasznego przemęczenia niewolniczą pracą długo nie mogłam z głodu i zimna zasnąć, a gdy już przyszedł sen nadpływały do mnie ludzkie kościoły – parafialny i Pijarów, zamek Giedymina z XIV wieku, w którym rezydowali także Jagiełło i Witold, oraz kwitnące ogrody i śniadania, do których zasiadała cała rodzina w naszej własności pod Lidą. Jednak nad tymi ckliwymi wspomnieniami górowały marzenia zdobywania żywności, włącznie z odcieciem tłustego „kirdziuka” pasącego się w kołchozie barana¹...

A zaczęło się wszystko pewnej kwietniowej nocy 1940 roku, gdy obudziło nas natarczywe łomotanie do drzwi i okien. Dostaliśmy od wszechwładnych enkawudzistów godzinę czasu na spakowanie dobytku i wraz z mamą, dwojgiem mojego rodzeństwa i innymi zostaliśmy nocą przewiezieni saniami na stację kolejową. Po pośpiesznym („pobystrej! pobystrej!”) wtłoczeniu nas do bydlęcych wagonów (po kilkadziesiąt osób z tobołami), zatrzaśnięciu i zaryglowaniu drzwi rozpoczęło się zestawianie „eszelonu”. Przy sowieckiej sprawności trwało to do późnego wieczora. Kilka razy przetoczono nasz wagon przed peronami ludzkiej stacji, na których od świtu stał tłum krewnych, przyjaciół i znajomych żegnających nas różańcami w wyciągniętych rękach. Przez małe okienka umieszczone pod sufitem wagonu dolatywał ich śpiew patriotycznych i kościelnych pieśni. Po całym dniu oczekiwania w ciemnych i dusznych wagonach ruszyliśmy wieczorem w nieznaną. Na granicy Polsko – sowieckiej musieliśmy przeładować się do bydlęcych wagonów szerszych linii rosyjskich.

Po dwutygodniowej podróży w przepelnionych, cuchnących wagonach, udrczeni poniżającymi warunkami, zrzucani z górnych prycz i przewracani na tobołkach, walizach i koszach przy każdym gwałtownym hamowaniu i ruszaniu pociągu, opuściliśmy Europę i dotarliśmy w pierwszych dniach maja do syberyjskich stepów. Daleko tu jeszcze było do wiosny i śnieg leżał grubą warstwą. Ciężarówkami rozwieziono nas do kilku kirgiskich wiosek-kołchozów. W naszym Ak-Kul wyładowano pięć rodzin – same kobiety i dzieci. Już pierwszego dnia drogi na

¹ „Kirdziuk” to gruba, przetłuszczona narośl, którą syberyjskie owce mają w miejsce ogona.

Sybir moja mama przygarnęła trójkę wtłoczonych do wagonu sierot, naszych znajomych; w mojej rodzinie było więc nas razem sześcioro dzieci.

Pierwsze zetknięcie z mongolskimi mieszkańcami kołchozu wywołało u nas przerażenie. Wkrótce przekonaliśmy się jednak, że nasze uprzedzenie i nieufność do nich były całkowicie bezpodstawne. Okazali się bardzo ludzcy, a wspólna wrogość do stalinowskich okrucieństw sprawiła, że znaleźliśmy się po tej samej stronie barykady. Mąż naszej gospodyni, która przygarnęła nas siedem osób, od dziesięciu lat siedział w sowieckim łagrze za to, jak mówiła, że był zacnym człowiekiem. Nas nigdy nie spotkała żadna krzywda od mieszkańców wioski, nigdy nic nam z naszych rzeczy nie zginęło, a widmo głodu, na który sami cierpieli, nie usposobiło ich wrogo do nas.

W Ak-Kulu przeżyliśmy wiosnę zjadając zapasy żywności przywiezione jeszcze z Polski, krótkie gorące lato pracując w polu oraz ciężką, okrutną zimą głodując po społu z naszymi gospodarzami. Kołchoz biedny, spłaciwszy zbiorami wszystkie „należności” władzy sowieckiej, nie zebrawszy z pola większości kartofli z powodu braku części do psujących się kombajnów, czekał przednówka z pustymi zasiekami i żołądkami.

Z nastaniem następnej wiosny 1941 roku ściągnięto nas nocą (NKWD jak pająki działała zawsze w nocy) na stację kolejową Tokoszy, dokąd zwożono wszystkich Polaków z okolicy. Tu zastała nas jedyna wiadomość – pocztówka od ojca, ukrywającego się dotychczas na Litwie. Z jednej strony przyjęliśmy ją z ogromną radością, że żyje, z drugiej wzmianka, że „jadę w waszym kierunku”, uświadomiła nam, że go aresztowano (dostał wyrok 10 lat łagrów). Kartkę po aresztowaniu w Kownie wyrzucił przez szparę w wagonie bez znaczka. Litościwe ręce podniosły ją ...

Znowu załadowano nas w wagony w ogromnie długim „eszelonie” i po wielodniowej podróży zaczęto wyładowywać po około 60 osób wraz z małymi dziećmi co 30 km wzdłuż trasy kolei transsyberyjskiej na linii Akmolińsk – Kartały. Każdej takiej 60-cio osobowej „brygadzie roboczej” nakazano przebudować po 15 km linii kolejowej w każdą stronę od miejsca wyładunku. Praca nieludzko ciężka dla kobiet i dzieci, na wysokich nasypach, ale wynagradzana kilkuset gramami niewidzianego przedtem chleba...

Wśród nas znalazła się lektorka polskiej literatury. Zajęła się potrzebą duchową i umysłową naszej młodzieży szkolnej, a w naszej „brygadzie” było nas około 30-ro (tych zebrano wybiórczo bez rodzin) w wieku szkolnym. Z braku polskich książek radziła nam uczyć się języka rosyjskiego i czytać choćby skrawki rosyjskich gazet, by w smutnym niewolniczym życiu nie dopuścić do umysłowego zastoju i

skostnienia, a pod naporem ponurej rzeczywistości nie załamać się i nie wpaść w stan zubożenia i beznadziei. Mimo zmęczenia codzienną katorżniczą pracą organizowała wieczorki literackie, na których z pamięci deklamowała poezję i recytowała prozę. Pewnej nocy NKWD aresztowało ją za tę działalność i wszelki słuch po niej zaginął.

W kilka miesięcy po tak zwanej „amnestii” do nas trzy osoby wypuszczone z łagrów, które na wiadomość, że na tej trasie pracują polskie kobiety i dzieci, szły wzdłuż linii kolejowej lub jechały czepiając się wagonów, szukając swoich bliskich. Tak trafił do nas pan Brylski, profesor gimnazjum handlowego w Lidzie i poseł do Sejmu RP. Zrządzeniem losu znalazł wśród nas swą żonę i trójkę dzieci. Łączyła ich radość z niespodziewanego spotkania, ale najmłodsza córeczka nie poznała w tym schorowanym, wyniszczonym i owrzodzonym, okrytym łachmanami człowieka swojego tatusia, „który był ładny” i nie chciała go przyjąć. Niedługo cieszył się pan Brylski swą najmłodszą latoroślą – po ewakuacji zmarła w Teheranie. Drugą osobą była Wanda Szuszo (nazwiska nie jestem pewna), koleżanka Wandy Wasilewskiej ze studiów i pracy na niwie komunistycznej propagandy w przedwojennej Polsce. Opowiedziała nam o swojej komunistycznej pracy, spełnieniu jej marzeń i nadejściu bolszewików, rozczarowaniu, aresztowaniu, pobycie w Łubiance w Moskwie i wyroku śmierci „za zdradę idei”. Po interwencji Wandy Wasilewskiej zamieniono jej wyrok śmierci na długoletni łagier.

Po dwóch tygodniach dowlókł się jeszcze do nas ostatkiem sił pan Starczewski, który także odnalazł między nami swą rodzinę.

Przyniesiona przez nich wiadomość o „amnestii” i tworzącej się Armii Polskiej pobudziła nas do starań o wyjazd na południe do rejonów koncentracji wojska. Po długich oporach, szykanach i zastraszaniu wyrażono wreszcie na to zgodę. W podstawionym wagonie ruszyliśmy, jak się nam zdawało, w kierunku Polskiej Armii. Podróż ciągnęła się w nieskończoność. Przetrzymywano nas na różnych stacyjkach na bocznych torach o głodzie i chłódzie, a wreszcie wyrzucono znów do kołchozu Jlim w Republice Uzbeckiej gdzieś koło Samarkandy. Zapędzono nas do zbierania bawełny za kilka garści „dżugary”, fasolowatych ziaren. Uzbegy, w których kołchozie się znaleźliśmy, sami żywili się ostatnimi ziarnami z zasieków...

O skontaktowaniu się z władzami polskimi nie można było nawet marzyć, zaczęto więc partiami uciekać z kołchozu. Poszedł pan Brylski i ojciec trojga sierot pan Justyn Sobol, który dotarł do kołchozu do swoich dzieci, oraz nasza męska, dorastająca młodzież. Poszli i ... wieść o nich zaginęła. Jak się potem okazało prawie wszyscy przechorowali tyfus.

W następnej rundzie uciekam z Renią i Staszka Piątkowskimi, koleżankami lidzkiego gimnazjum, towarzyszkami syberyjskiej niedoli

i wielu potem etapów życia. Po ogromnych trudnościach, kilkunastogodzinnej podróży bez biletów, znalazłyśmy się na stacji Kermine, oddległej o około 150 km na północny – zachód od Samarkandy, którą wskazał nam spotkany przypadkowo żołnierz. Był to punkt zborny 7. Dywizji Piechoty. Jej twórcą i dowódcą był wówczas gen. Zygmunt Szyszko-Bohusz. Zaakceptowano dodawane przez nas do naszego wieku lata i wraz z Renią i Stachą zostałyśmy przyjęte w szeregi Ochotniczej Pomocniczej Służby Kobiet.

Przez pewien czas musiałyśmy oczekiwać na przydziały do konkretnych jednostek w „lokum za szafą” we wspólnej izbie razem z rosyjskimi gospodarzami. Przeżyłyśmy jeszcze tyfus plamisty Stachy. Dzięki opiece profesora Kowalewskiego (z naszego gimnazjum w Lidzie) Stacha wyszła z życiem z tej opresji. A był to dar niemały, bo całymi dniami noszono ciała zmarłych jedną trumną do wspólnych grobów. Marli już ci w mundurach, ci czekający bezimiennie na zaciąg i obsługa szpitala, bezradna wobec okropności chorób zakaźnych, braku środków lekarskich i warunków sanitarnych².

Renię przydzielono do dowództwa 7. Dywizji Piechoty, mieszczącego się w mieście Kermine (od 1958 roku - Nawoi), o około 8 km od stacji kolejowej. Mnie - do 23. pułku piechoty stacjonującego w Kenimechu oddległym o 25 km. Mój wyjazd na ten przydział utkwiał mi na całe życie w pamięci. By się tam dostać czekałam cały dzień o głodzie i zimowym chłódzie na jakiś przypadkowy transport. Zastała mnie tam noc. Z trudem dotarłam ze stacji do miasta, gdzie było nasze dowództwo. Przemoknięta, wycieńczona i zziębnięta dowlokłam się dosłownie na czworakach do koszar ochotniczek; było już mocno po północy. Posiłona małym kawałkiem chleba i odrobiną cukru wypłakałam w ramionach Reni całą udrękę poprzedniego dnia. Od wczesnego ranka czekałam znowu na jakiś transport przy drodze do Kenimechu. Padał deszcz ze śniegiem, wieczorem chwycił mroź. Ostatnią deską ratunku okazała się lora naładowana drzewnymi karczami, które właśnie wieźli do polskiego wojska na opał pod kotłami. Niechętnie zgodzili się na moją podróż na wierzchu karczów („jak spadniesz, to czort z tobą”), które wysoko wystawały nad szoferkę. Leżąc plackiem wczepiłam się palcami w oślizgłe, oblodzone odnogi korzeni. Już po kilku kilometrach czułam, że zamarzam. Przemoknięta i głodna, wystawiona na pęd mroźnego wiatru, tracąc od czasu do czasu przytomność i poczucie rzeczywistości, dobrnęłam wreszcie pod drzwi dowódz-

² 14 kwietnia 2007 roku biskup polowy WP gen. dyw. Tadeusz Płoski i biskup Jerzy Maculewicz - administrator apostolski w Uzbekistanie, poświęcili największy polski cmentarz wojenny w Guzar, gdzie formowała się 5. Dywizja Piechoty. Od lutego do końca sierpnia 1942 roku zmarło w Uzbekistanie ponad 3100 polskich żołnierzy. Śmiertelność wśród ludności cywilnej, skupionej wokół jednostek wojskowych, była jeszcze większa. Niektórzy historycy podają jej liczbę na ponad 10 tysięcy osób.

twą 23. pułku piechoty. Tam ściągnięto mnie z lory, a że była już głęboka noc, doczekałam świtu leżąc na betonowej posadzce, pod mokrym przykryciem, trzęsąc się do rana w okropnej febrze.

Rano, dziwiąc się mocno że żyję, dostałam umundurowanie wojskowe – battledress, spodnie i ciężkie półbuty, nazywane przez nas „bombowcami”. Męskie ubranie wojskowe było ciepłe i wygodne, narzekałyśmy tylko na wielką ilość guzików, o których zapinaniu najczęściej zapominaliśmy... Mundur dał przyjemne poczucie bezpieczeństwa i przynależności do Polskiej Armii.

Już pierwszego dnia zmieniono mi pracę telefonistki na tłumaczkę języka rosyjskiego w kancelarii dowództwa 23. pułku piechoty. Umiałam pisać i czytać po rosyjsku i to się okazało bardzo potrzebne i poszukiwane. Dowódcą 23. pułku piechoty był płk Józef Kramczyński; nazywałyśmy go „tata”, bo zawsze troszczył się o nasze warunki i zdrowie.

Tyfus szalał w zawody z czerwonką. Wstęp do naszych koszar, w których znalazłam się w jednym pokoju z panią Hanką Broncel, moją późniejszą profesorką historii w Nazarecie (w Szkole Młodszych Ochotniczek) oraz innymi ochotniczkami, pracownicami kancelarii i oświaty, był wzbroniony dla ludności cywilnej. Toteż, gdy moja mama odwożąc trójkę sierot do Kermine stacji pod opiekę profesora Kowalewskiego (dwoje młodszych umieścił w sierocińcu, a najstarszą w Pomocniczej Służbie Kobiet) cudem dojechała do mnie, widziałam ją tylko przez parę chwil na zewnątrz, bo tym samym pojazdem zaraz wróciła na stację; następne spotkanie było dopiero w Anglii po wojnie.

Evakuację z Rosji na Środkowy Wschód przyjął z mieszanymi uczuciami³. Nie tęskniłam za tą nieludzką ziemią, ale mama z rodzeństwem wciąż znajdowała się w sowchozie Dżuma koło Samarkandy. Zapewniano mnie, że moi bliscy jako rodzina wojskowa, której trzonem byłam ja, zostaną na pewno wyewakuowani z Rosji. Choroba rodzeństwa na tyfus omal tego nie przekreśliła. Udało im się ostatecz-

³ W sierpniu 1941 roku do Iranu wkroczyły wojska radzieckie (na podstawie układu z 1921 roku) oraz brytyjskie dzieląc Iran na dwie strefy okupacyjne: północną radziecką i południową brytyjską. Armia Polska była ewakuowana z ZSSR w dwóch etapach: od 24 marca do 3 kwietnia i od 9 sierpnia do 1 września 1942 roku do obrony strategicznych pól naftowych w północnym Iranie przed dywersją niemiecką, ale bez broni. Evakuacja odbywała się głównie kolejną do Krasnowodzka, a stamtąd statkami przez Morze Kaspijskie do Pahlevi, a częściowo drogą lądową przez Aszchabad (od 1994 roku Krasnowodsk nosi nazwę Turkmenbaszy, a w 1980 roku Pahlevi przywrócono dawną nazwę sprzed 1925 roku: Bandar-e Anzeli).

nie wyjechać ostatnim transportem tuż przed zerwaniem na tle Katynia polsko-rosyjskich stosunków dyplomatycznych⁴.

Po ewakuacji statkami przez Morze Kaspijskie z Krasnowodzka spotkałam w Persji w porcie w Pahlevi mojego ojca, który mocno spotkaniem wzruszony był niemniej ogromnie zdziwiony widząc mnie w mundurze.

Pierwszy smak wolności był odurzający; dziwiliśmy się wszystkiemu: oknom wystawowym, obfitości chleba i innych produktów. Nasz głód wydawał się być niezaspokojony. Brak odpowiedniej kontroli nad naszym apetytem wywoływał niemiłe skutki zdrowotne.

Podróż z Pahlevi do Teheranu transportem prowadzonym wyłącznie przez Persów przez karkołomne, strome i kręte drogi pasma gór Elbrus, dała nam wiele dech zapierających wrażeń. Nikt poza Persami nie odważyłby się prowadzić pojazdu przez te labirynty stromych gór. Znaleźliśmy się w obozie wojskowym pod Teheranem, na terenie którego były także bloki ludności cywilnej, skąd widać było miasto na tle ośnieżonych szczytów gór elbruskich. Zostałam z Renią obarczona funkcją komendantki „bloku cywilnego”.



*Autorka artykułu – Wanda
Puczyło – Zwierzyńska
w 1942 roku po przybyciu do
oboza kobiecego w Rehowoth.*

W połowie 1942 roku jednostki Armii Polskiej ewakuowane z ZSRR zostały przesunięte z Persji do Iraku w rejon Khanaqin i Quizil-Ribat między Eufratem i Tygrysem i weszły w skład utworzonego związku operacyjnego o nazwie Armia Polska na Wschodzie. Ja i Renia pozostałyśmy w Persji nadal opiekując się ludźmi, których czekała dalsza podróż do Afryki lub Indii na przetrwanie wojny. Po paru tygodniach ostatni mój podopieczny z 150-osobowego „bloku” opuścił Persję i mogłam wyjechać do Palestyny, gdzie już wcześniej przeniesiono sformowany właśnie 2. Korpus Polski pod dowództwem gen. Władysława Andersa.

W Palestynie znalazłam się w obozie kobiecym w Rehowoth. Organizowano tu właśnie różne kursy przygotowujące ochotniczki do służby w wielu

⁴ Ostatnim transportem ewakuacyjnym 1 września 1942 roku opuścił też ZSRR biskup polowy WP gen. dyw. Józef Gawlina, który od czerwca wizytował oddziały Armii Polskiej w Uzbekistanie, Tadżykistanie, Kirgizji i Kazachstanie.

działach. Moje pierwsze kroki stawiałam w kompanii administracyjnej, której komendantką była pani Skowronek. Zaraz na wstępie zaproponowała mi funkcję swej zastępczyni. Choć jej przedtem nie znałam, współpraca dobrze się układała. Na jej decyzję wpłynęła dobra opinia o moim wywiązywaniu się z obowiązków tłumaczki w Kenimechu i komendantki bloku cywilnego w Teheranie. Moimi obowiązkami było głównie załatwianie różnych spraw u komendantki obozu pani Przy-stajko, której wszyscy bali się jak ognia ...



Uczestniczki kursu telefoniczno-telegraficznego w Rehowoth w Palestynie w 1942 roku.

1 – Zosia Sulik, **2** - kierownik kursu por. Mieczysław Aleksandrowicz, **3** – mjr Jan Chałupa, **4** – Stacha Piątkowska, **5** – Renia Piątkowska, **6** – Autorka artykułu Wanda Puczyło - Zwierzynska. Kursantki noszą na prawym rękawie niebiesko-czarny trójkąt łącznościowców.

Któregoś dnia, po powrocie z wycieczki do Jerozolimy, zastałam swoje wojskowe worki i graty przeniesione do baraku o nazwie „łączność”. Wraz z trzydziestukilkoma wyselekcjonowanymi koleżankami ukończyłam kurs telefoniczno-telegraficzny i stałam się żołnierzem łączności.

Ponieważ akurat w tym czasie gimnazjum zostało przeniesione z Gedery do obozu w Rehowoth, zapisałam się do dalszej nauki. Po zdaniu egzaminów wstępnych zaczęłam lekcje, prowadzone niestety w bardzo ograniczonych warunkach w naszych sypialniach. Siedzące na swych łóżkach uczennice wyciągały szyje w stronę tablicy zawieszanej na drzwiach wejściowych długiego baraku. W tych warunkach „doleciały do mnie sygnały łącznościowe” wzywające na kurs radiotelegraficzny w Quizil-Ribat w Iraku. Decyzja była bardzo trudna, ale ci co

zachęcali zapewniali, że do gimnazjum wrócę po zakończeniu kursu, który miał być na wysokim poziomie. Jak się okazało decyzja nie była zła: po skończeniu 7-miesięcznego kursu wróciłam do tej samej szkoły, ale już w znacznie lepszych warunkach w Jeninie, skąd po kilku miesiącach przeniesiono ją do Nazaretu. Tym razem należałam do grupy dziewcząt odkomenderowanych tylko do zrobienia małej lub dużej matury.

Gdy po uzyskaniu małej matury wezwano mnie do swego pododdziału – 12. kompanii łączności dowodzonej przez kpt. Cebrowskiego, nie starałam się zmieniać biegu rzeczy mając nadzieję, że „powojowawszy” trochę znowu wrócę do liceum.

Tymczasem w listopadzie 1943 roku 2. Korpus Polski został przerzucony do Egiptu, gdzie skoncentrował się w obozie wojskowym Quassasin pod Aleksandrią i został całkowicie zmotoryzowany. Od grudnia 1943 roku do połowy kwietnia 1944 roku Korpus był przewożony do wyzwolonej już przez aliantów części Włoch. Wraz z dwiema koleżankami Zosią Sulik i Geną Wróblewską, z którymi ukończyłam kurs radiotelegraficzny i szkołę (one zdobywając duże matury) zostałyśmy skierowane do likwidacji Ośrodka Łączności w Quassasin. Nasza 12. kompania była już we Włoszech. Obsługiwałyśmy radiostację, centralę telefoniczną i aparaty stacyjne. W miarę wyjeżdżania naszych oddziałów do Włoch nasza praca się kurczyła. Ponieważ byliśmy tylko trzy, mieszkaliśmy „kątem” na terenie 316. kompanii transportowej kobiet, nie podlegając jednak ich dowództwu. Najbliżej stacjonujący oddział Podchorążówki z komendantem rotmistrzem Zbigniewem Paciorkiem (leży na Monte Cassino) związa obóz. Żegnamy ich wdzięcznym sercem, bo ratowali nas w czasie burzy piaskowej - chamsinu, kiedy nasz duży namiot został prawie całkowicie zerwany, a my ratując go, byliśmy zmieszane z piaskiem.

4 kwietnia 1944 roku wypływamy z Port Said'u transportem kierującym się do Włoch. Dołączamy do Wojskowej Trupy Artystycznej. Podpływamy barką do stojącego na redzie „Batorego” załadowanego wojskiem polskim i angielskim. Już przy jego burcie słyszymy nabrzmiały emocją głos Jadzi Andrzejewskiej (przedwojennej aktorki filmowej): „Och! Micio, Micio Cybulski!”. Wiedzioną wzrokiem innych spoglądam w górę i tuż nad moją głową widzę wyglądającą z okrągłego luku twarz aktora i amanta filmowego, obiektu dziewczęcych westchnień, Mieczysława Cybulskiego.

Na statku miałyśmy drugą tego rodzaju miłą niespodziankę: był nią Jerzy Petersburski, pianista, piosenkarz, kompozytor, autor przedwojennych przebojów jak: „Musiałem Cię zostawić”, „Tango Miłonga”, „To ostatnia niedziela”, czy „Mała, błękitna chusteczka” skomponowanego już w 1940 roku w Odessie. Oba artystów spotykaliśmy wieczorami w sali rekreacyjnej „Batorego”.

Płyniemy zygzakiem, co przedłuża podróż. Morze Śródziemne jest naszpikowane niemieckimi łodziami podwodnymi. W konwoju poza okrętami angielskimi mamy polski kontrtorpedowiec „Ślęzak”. Przeżywaliśmy też ostre alarmy: jak najciszej i jak najszybciej stajemy w zwartym szyku w wyznaczonych miejscach. Motory milkną. W kompletnej ciszy idą bomby głębinowe, statkiem i nami wstrząsa - i myśl: „trafią nas, czy nie?” Po pewnym czasie ulga, motory w ruch i cały konwój wchodzi w zygzak.

Szczęśliwie dopłynęliśmy do portu Taranto we Włoszech, a stamtąd wojskowym transportem dowieziono nas do Dowództwa Bazy 2. Korpusu w Mottoli. Tu rozstałam się z Zosią i Geną, które wyjechały dalej na północ do Korpusu.

Dowództwo Łączności Bazy 2. Korpusu mieściło się wraz z Dowództwem Bazy, Ośrodkiem Łączności i Biurem Szyfrów w wielkim budynku szkolnym na samym szczycie górzystego miasteczka Motto-la. Były tam także biura innych służb, a w dolnej kondygnacji budynku



Budynek szkolny w Mottoli, gdzie w latach 1944 – 47 mieściło się Dowództwo Bazy 2. Korpusu Polskiego, Dowództwo Łączności Bazy i biura innych służb, a w dolnych kondygnacjach – wspólne pokoje mieszkalne ochotniczek łączności i administracji oraz biura łączników angielskich.

– pokoje mieszkalne ochotniczek łączności i administracji. Budynek stał na stoku na samym szczycie mottolskiej góry, toteż nasz pokój z drugiej jego strony znajdował się na pierwszym piętrze. Dowódcą

Łączności Bazy 2. Korpusu był mjr (a później ppłk) Jan Chałupa⁵, dowódcą kompanii łączności por. (później kpt.) Bronisław Rek, szefem kompanii sierż. Marczak, a dowódcą plutonu radiowego ppor. Turek. Adiutantem dowódcy Łączności Bazy był por. Kozorowski, dowódcą plutonu telefonistek i Ośrodka Łączności – por. Siedlanowski.

Wpadliśmy od razu w wir pracy: obsługa radiostacji, centrali telefonicznej, Ośrodka Łączności, Biura Szyfrów i poczty. Wszystkie byliśmy już dobrze przeszkolone, z praktyką zdobytą na Środkowym Wschodzie. Mój pluton radiowy obsługiwał radiostację „dużej” sieci korpuśnej, w skład której wchodziła jako stacja kierownicza radiostacja Dowództwa Korpusu i dwie podległe (z których jedną była nasza), a także radiostację kierowniczą sieci „małej”, do której wchodziło sześć stacji podległych rozmieszczonych w południowej części Włoch.

Radiostacja sieci „małej” mieściła się w budynku razem z Biurem Szyfrów, natomiast trzy egzemplarze radiostacji sieci „dużej” zainstalowane w samochodach zmieniały kilka razy miejsce swego postoju. Początkowo były na terenie kompanii łączności przy drodze za miasteczkiem. Ich wyposażenie było luksusowe: po-



*Wala Mokrzycka koleżanka Autorki
na stanowisku w radiostacji*

tężny nadajnik, dwa odbiorniki, maszyna do pisania, wygodne siedzenia, wentylacja. Miałymy jednak często kłopoty z uruchomieniem agregatora ze startera, który przy nawiązywaniu pierwszej łączności nie zawsze miał ochotę działać; żeby go ruszyć trzeba było kilku lub kilkunastu ciężkich obrotów korbą. Teoretycznie w takich przypadkach miał nam pomagać żołnierz, ale praktycznie musiałyśmy liczyć na własne siły, gdyż w czasie nawiązywania pierwszej łączności około godziny 6 rano cała kompania była jeszcze pogrążona we śnie i nawet goniec się nie zjawiał.

Droga do tych radiostacji sprawiała nam sporo kłopotów. Seanse łączności odbywały się pięć razy dziennie, a przy małej liczbie telegramów w przerwach między seansami wracałyśmy do swego pokoju – dużej szkolnej sali. Wędrówkę do radiostacji i z powrotem odbywa-

⁵ Jan Chałupa był w 1919 roku w stopniu por. szefem łączności 4. pułku strzelców w 2. Dywizji Armii Polskiej we Francji (Błękitnej Armii gen. Hallera). Po przewiezieniu Armii do Polski brał udział w walkach z Ukraińcami, a w 1920 roku – z Armią Czerwoną, za co był odznaczony Krzyżem Walecznych. W latach 30-tych był oficerem łączności w Inspektoracie Armii gen. Rómmla, a w kampanii wrześniowej 1939 roku – referentem łączności w Dowództwie Armii „Łódź” (przypiski 8 – 11 pochodzą do Redakcji).

łyśmy więc niekiedy dziesięć razy dziennie, a marsze te, zwłaszcza w zimie, były uciążliwe. Szło się albo skróconą drogą przez miasteczko pokonując niezliczoną liczbę spadających stromo schodów, albo długą drogą okrężną.

Nasza praca na radiostacjach sieci „dużej” szła dobrze i spraw-



nie, mimo naszej szczupłej obsady. Sieć obsługiwały radiotelegrafistki – moje koleżanki z pierwszego kursu w Quizil-Ribat, niektóre miały już wówczas ukończony kurs telefoniczno-telegraficzny w Rehovoth. Wkrótce dołączyły do nas radiotelegrafistki następnego kursu nie ma-

jące praktycznego doświadczenia, początkowo pracowały przeto pod nadzorem bardziej doświadczonych radiotelegrafistek. Ostatni z pięciu seansów łączności w ciągu doby odbywał się między godziną 10:00 a 11:00 w nocy, a często przy dużej korespondencji przeciągał się znacznie dłużej. Warunki atmosferyczne w nocy były bardzo niekorzystne: słabsza słyszalność, zaniki, większa aktywność różnych stacji, zagłuszanie przez stacje nieprzyjacielskie itp. W takich warunkach wymiany telegramów szły niekiedy całą noc. Czasami trzeba było siedzieć godzinami na nasłuchu, co wcale nie oznaczało odpoczynku, bo trzeba było uważnie wsłuchiwać się w gwar brzęczących znaków, czy w tym mrowisku Morse'a nie dolatują sygnały wywoławcze naszej radiostacji. Dla wracającej rano z dyżuru określenie „wykończona” wcale nie było przesadzone.

Codzienna praca nasilała się podczas frontowych działań Korpusu, kiedy dyżury trwały nawet po 24 godziny na dobę aż do przejścia dyżuru przez następną zmianę o godzinie 6:00 rano. Tak było po moim zainstalowaniu się w Bazie, gdy 12 maja 1944 roku o godzinie 1:00 ruszyło pierwsze natarcie polskie na Monte Cassino stanowiące kluczową pozycję w niemieckich fortyfikacjach obronnych Linii Gustawa. Walki zakończyły się dopiero 18 maja, kiedy na gruzach klasztoru nasi żołnierze zatknęli o godzinie 9:40 biało-czerwoną flagę. A zaraz potem od 19 do 23 maja trwały boje o Piedimonte na Linii Hitlera. Od 21 czerwca Korpus walczył nad Adriatykiem wyzwalając⁶ 18 lipca z rąk niemieckich Ankonę i przechwytyjąc nieuszkodzony port. Dowódcy 2. Korpusu Polskiego podporządkowano wtedy korpus włoski i kilka pułków brytyjskich. W piątą rocznicę napaści Niemiec na Polskę 1 września 1944 roku 2. Korpus Polski wspólnie z Kanadyjczykami przełamał pierwszą pozycję linii Gotów zajmując Pesaro nad Adriatykiem. Po krótkim odpoczynku w odwodzie od połowy października do połowy grudnia Korpus przebił się przez Apenin Toskańsko – Emiliański przyczyniając się do wyzwolenia 16 grudnia Faenzy.

Zima z 1944 na 45 rok była wyjątkowo ostra, śnieg pokrył wszystko dookoła grubą warstwą. W tych warunkach nasze wędrówki do radiostacji skróconą trasą schodami były tym trudniejsze; do tego dołączyły się włoskie „bambina” czekające na nas ze sporym ładunkiem śniegowych kul. Po poczęstowaniu nas porcją śnieżek biegły za nami prosząc o jałmużnę, tytułując nas „dobra pana kapitana”. Przy dłuższej drodze kołowej warował zawsze dobroduszny, opasły włoski

⁶ Postawa żołnierzy 2. Korpusu Polskiego we Włoszech i ich stosunek do miejscowej ludności wywołały ogólną sympatię i stwierdzenie, że Polacy wyzwalają poszczególne włoskie miasta, miasteczka i wioski, podczas gdy Anglicy i Amerykanie je zdobywają.

księżyna, który po wylewnych powitaniach wyciągał rękę i także prosił „dobra pana kapitana” o pieniądze.

Ochotniczki łączności podlegały bezpośrednio władzom męskim, nominalnie jednak także komendantce Pomocniczej Wojskowej Służby Kobiet, która miała roztoczyć opiekę nad ochotniczkami wszystkich służb w całej Bazie. Jej wysiłki, by nas sprawdzać po capstrzyku spełzły jednak na niczym, bo zawsze część z nas miała dyżur na radiostacji. Ta nasza niezależność wywołała zazdrość u koleżanek innych służb i złośliwe określenie nas „elitą Bazy”.

Pluton radiowy był oczkiem w głowie naszego dowódcy łączności Bazy, nazywanego przez nas, jak dowódców w wielu wojskowych jednostkach, „Starym”. Jego ambicją było posiadanie takich radiotelegrafistek, jakich nie mieli w Korpusie. Każda nasza z nim odprawa kończyła się nakazem: „tempo, tempo, tempo! – na sieci „dużej” około 100 znaków/min”. Nakazał też zorganizowanie nam kursu pisania na maszynie, co w przyszłości miało nam służyć do odbioru telegramów wprost na maszynę. Z kursu chętnie skorzystaliśmy mając jednak poważne wątpliwości, czy rzeczywiście uda się nam bezpośrednio zapisywać telegramy na maszynie. Nasz „Stary” interesował się troskliwie naszym samopoczuciem, warunkami pracy i zakwaterowania, zdarzały mu się jednak chwile irytacji i nie mijały nas wówczas wojskowe wymysły i niesprawiedliwe kary, złośliwie powielane przez dowódcę naszej radiostacji. Były łzy i narzekania, ale tylko w ścianach naszego pokoju, żadna nie śmiała iść z żalami do „Starego”. Nadarzyła się wreszcie okazja do bezpośredniego spotkania z dowódcą. Wzięłam na siebie ciężar wygarnięcia wszystkich naszych bolączek: długą i uciążliwą drogę do radiostacji, mękę z agregatorem, długie godziny



Przerwa w pracy.

Od lewej: Autorka sierż. Wanda Puczyło - Zwierzyńska, ppor. Miki Kozowski, ppor. Sadkowski, sierż Lucyna Stachowska i Tasia Michałowska

pracy i niesprawiedliwe kary. Zdawałam sobie sprawę, że taka niesubordynacja może mieć dla mnie skutek pominięcia w oczekiwanym awansie, ale w rezultacie jeszcze tego samego dnia kary anulowano, a radiostację podciągnięto bliżej. Miało to jednak początkowo ten ujemny skutek, że radiostacji rozwiniętej nie na terenie wojskowym, lecz na publicznym tarasie, nie można było opuszczać i nasze uciążliwe wędrowki zamieniły się na całodziennne dyżury. Jednakże wkrótce potem znaleziono dla

radiostacji odpowiedni teren, który odpowiadał wymogom wojskowym i naszej wygodzie.

Wreszcie nadeszły oczekiwane awanse; sypnięto nimi dość hojnie. Awanse na sierżantów dostały radiotelegrafistki naszej starszej generacji radiowej: Neli Koleda (juzistka przeszkolona w Zegrzu), M. Sienkiewicz (przed wojną pracownica Poczt i Telegrafów), L. Stachowska, S. Jakubczyk i ja. Plutonowymi zostały panie z późniejszego kursu: K. Szewczyk i I. Doubrawska. Były też awanse na niższe stopnie. Radość z tego powodu była wielka, uczczona tradycyjnym „oblewaniem”, umożliwionym przydziałem alkoholu dla sierżantów i plutonowych. Odbiór telegramów tego wieczora był znacznie trudniejszy, mimo dublowanego dyżuru. Na pomoc przybył nam por. Tyndiuk – szef Biura Szyfrów.

Bezpośrednio po awansach otrzymałam mój pierwszy od początku mojej wojskowej kariery urlop. Nigdy się o niego przedtem nie starałam, bo nigdy na to nie miałam czasu: od pracy - na kursy, z kursów - do szkoły, ze szkoły - znów do pracy i - znów na kursy. Tam gdzie były jakieś luki, wypełniały je szpitale, które niestety dość często nawiedzałam, a to z powodu ameb, choroby tropikalnej, wówczas przez polskich lekarzy nierozpoznawalnej, której nabawiłam się w Iraku. Dopiero cztery lata później diagnoza w Anglii w polowym szpitalu wojskowym umożliwiła wyleczenie mnie z ciągłej gorączki i ataków jak przy malarii, a przy tym okropnych bólów głowy.

Urlop spędziłam u ojca w Jerozolimie. Po powrocie do służby spotkał mnie następny awans, ale tym razem w tym samym stopniu sierżanta – zostałam dowódcą radiostacji, którym przedtem był mężczyzna. Dwie panie sierżant: M. Sienkiewicz i N. Koleda odeszły do innych ośrodków na samodzielną pracę do Matery (Centrum Wyszkolenia Armii) i Neapolu.

Praca w sieci „korpuśnej”, czyli „dużej” szła bardzo sprawnie. Na wszystkich krańcach trzystacyjnej sieci pracowały radiotelegrafistki dobrze wyszkolone, zdyscyplinowane i obowiązkowe. Gorzej natomiast działo się na sieci „małej”, do której wchodziło sześć stacji z naszą jako stacją kierowniczą. Tu praca szła opornie, wymiana telegramów często nieznacznie się przeciągała; wy-



*Ojciec i córka: Jan i Wanda
Puczyło podczas urlopu
w Jerozolimie w 1945 roku*

dawało się czasem, że telegram szybciej doszedłby drogą kołową niż Morse'm. Przyczyną tego marazmu była źle wyszkolona obsługa na stacjach podległych. Obsługiwali je szkoleni pośpiesznie radiotelegrafisci, którzy nie tylko nie dawali sobie rady ze znakami Morse'a, ale także niezupełnie orientowali się w regulaminie radiowym. Zwolnione tempo wymiany telegramów wywoływało wielkie niezadowolenie „Starego”. Radiotelegrafistki naszej radiostacji, choć miały mniejszą praktykę od swych starszych stażem koleżanek z sieci „korpuśnej”, dawały sobie względnie dobrze radę, natomiast radiotelegrafisci stacji podległych nie powinni w ogóle siadać do klucza. Raporty, które składałam wprost do dowódcy Łączności Bazy nie odnosiły pożądanego skutku, a spowodowały wydanie rozkazu: „Telegram musi być przekazany. Jeśli telegrafistka nie daje sobie rady – wołać dowódcę radiostacji, jeśli nie daje rady dowódca radiostacji – wołać dowódcę plutonu. Jeżeli ten nie daje rady – wołać dowódcę kompani. Jeśli i ten nie da rady – wołać mnie!” Po tym rozkazie sama wzięłam najbliższy nocny dyżur na „małej” sieci. Wobec niemożności wymiany telegramu, w porozumieniu z dyżurną Ośrodka wysłałyśmy gońca kolejno do wszystkich naszych szarż. Ten nocny alarm skończył się na dowódcy kompanii por. Reku, który wstrzymał wysłanie gońca do ppłk. Chałupy. Mimo pomocy całej zebranej szarży nie udało się przekazać telegramu. Rano po wstępnej gniewnej i głośnej reprimendzie „Starego” postanowiono wreszcie dokonać zmiany w obsadzie podległych stacji.

Tymczasem dalej trwały walki 2. Korpusu Polskiego we Włoszech. W kwietniu 1945 roku Korpus walczył pod Bolonią, a zdobycie przez Polaków tego milionowego miasta 21 kwietnia przesądziło ostatecznie o załamaniu niemieckiej obrony we Włoszech i jej kapitulacji.

Nastąpił koniec wojny. 2. Korpus Polski pozostawał jeszcze jakiś czas we Włoszech i był częścią wojsk okupacyjnych. Wkrótce zaczęły do nas zjeżdżać ochotniczki z Armii Krajowej uwolnione z obozów jenieckich w Niemczech. Przyjęłyśmy je serdecznie, by nie dopuścić do antagonizmów powstających przy zetknięciu różnych grup. Dzieliły nas przecież lata różnych, odmiennych przeżyć, różnych tragedii. Nasze osobowości kształtowały się pod naciskiem odmiennych okoliczności. Niestety nieporozumień nie uniknęłyśmy. Doszło do zaostrzenia sytuacji i wytworzenia między naszymi grupami wrogości. Sprawa oparła się o dowódcę Łączności Bazy, który na odprawie obu grup surowo nas skarcił, zupełnie naszym zdaniem niezasłużenie.

Dla przybyłych ochotniczek z AK został zorganizowany kurs radiotelegraficzny. Jego kierownikiem i wykładowcą radiotechniki został por. Kozorowski, mnie przypadła funkcja instruktorki. Dziewczęta z energią zabrały się do ćwiczeń i nie miałam żadnych trudności z utrzymaniem dyscypliny.

Mimo tych dodatkowych zajęć z przyjemnością brałam dyżury na „dużej” sieci. Praca na radiostacjach dawała mi zawsze dużo satysfakcji. Pokonywanie trudności atmosferycznych i zagłuszania przez stacje nieprzyjaciela, wyłuskiwanie tonów swoich stacji i rozpoznawanie pracujących na nich koleżanek było bardzo fascynujące. I znowu, na co miałam zawsze nadzieję, wyłoniła się możliwość ukończenia polskiego liceum, tym razem we Włoszech w Porto San Giorgio. Bez trudu zostałam przyjęta do szkoły, musiałam jednak pokonać opory w uzyskaniu zgody na urlopowanie z oddziału. Znalezienie się znów w ławie szkolnej po raz trzeci i w trzecim z kolei kraju wpłynęło na mnie i moje koleżanki bardzo odmładzająco, na co złożyły się inne obowiązki i inne podporządkowanie się. Wśród uczennic gimnazjum i liceum były także takie, które dopiero teraz miały okazję kontynuować lub kończyć przerwana przez wojnę naukę w kraju. Rok szkolny tak jak we Wszystkich szkołach czasu wojny – nie naruszając programu – trwał siedem miesięcy bez żadnych dni wolnych prócz niedziel. Po zakończeniu pierwszego roku szkolnego dwutygodniowe wakacje spędziłyśmy w pięknych miejscowościach Cadenabii i Belagio nad jeziorem Como w północnych Włoszech. Pod koniec drugiego roku szkolnego doszły nas wieści o ewakuacji 2. Korpusu Polskiego do Anglii. Władze szkolne robiły usilne starania o przedłużenie nam pobytu we Włoszech do końcowych egzaminów, niestety Anglicy nie zgodzili się. Poczynając już od czerwca 1946 roku 2. Korpus był stopniowo przewożony do Anglii, gdzie nasi sojusznicy zafundowali nam rozwiązanie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie powołując w zamian Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia. Nasze egzaminy maturalne nastąpiły dopiero w Anglii w obozie Foxley koło Herefordu.



*Dekoracja Autorki Krzyżem Zesłańców
Syberyjskich przez Konsula Generalnego RP
w Wielkiej Brytanii pana Roberta Rusieckiego
w dniu 11 marca 2008 roku.*

O pozostaniu na obczyźnie naszej rodziny zdecydował Ojciec mówiąc: „Wolałbym oczyszczać z gruzów Warszawę niż Londyn, ale wiem, że tu każdą noc prześpię spokojnie.”

Pozostałam więc w Anglii, wyszłam za mąż za polskiego żołnierza-oficera i nigdy już nie zobaczyłam Lidy ani Nowogródka. Wspomnienia z zsyłki odżyły, gdy w tym roku zostałam odznaczona przez prezydenta RP pana Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Zesłańców Syberyjskich.

Od Redakcji

Pani ppor. Wanda Zwierzyńska z domu Puczyło urodziła się w Nowogródku, mieście swoich rodziców. Jej ojciec jako urzędnik państwowy zmieniał miejsce pracy i zamieszkania; przed wojną rodzina osiedliła się w Lidzie w województwie nowogródzkim. W 1939 roku Pani Wanda Zwierzyńska była uczennicą gimnazjum w Lidzie. Wywieziona przez NKWD wraz z matką i rodzeństwem w kwietniu 1940 roku na Syberię spędziła tam dwa lata. Pokonując niehumanitarne trudności udało się jej w końcu 1941 roku dojechać do punktu zbiorczego oddziałów Armii Polskiej w Związku Radzieckim i wstąpić do Ochotniczej Pomocniczej Służby Kobiet WP. Po ewakuacji z Rosji na Bliski Wschód i ukończeniu specjalistycznych kursów była żołnierzem łączności w 2. Korpusie Polskim i wraz z nim przeszła kampanię włoską 1944 – 45. Wyróżniona brytyjskimi odznaczeniami wojennymi: 1939-45 War Star, Italy Star, Defence Medal, The War Medal 1939-45 i polskimi: Krzyżem Zesłańców Syberyjskich i Medalem Wojska Polskiego.

Po zakończeniu wojny i rozwiązaniu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie osiadła w Anglii w Reading nad Tamizą około 80 km na zachód od centrum Londynu, ośrodkiem administracyjnym hrabstwa Berkshire, wyszła za mąż i założyła rodzinę. Jej mąż Stefan, oficer WP, absolwent Uniwersytetu Poznańskiego z dyplomem magistra filozofii w zakresie matematyki, po ukończeniu kursu języka angielskiego dostał pracę w prywatnej, katolickiej szkole z internatem dla chłopców „The Oratory School”, założonej przez sławnego konwertytę, kardynała Henry John Newman’a w 1859 roku. Przeprowadził tam 37 lat, w tym przez 15 lat na stanowisku zastępcy dyrektora. Pani Wanda zajęła się w tym czasie domem i wychowaniem dwojga dzieci.



Gdy w Anglii zaczęły powstawać polskie organizacje kombatanckie włączyła się z właściwą jej energią i zapałem do działalności społecznej w Kole Kobiet Żołnierzy, Związku Łącznościowców (który w 1992 roku stał się Oddziałem Autonomicznym Światowego Związku Pol-

*Towarzyskie spotkanie kombatanatów – lata 70-te.
Od prawej: gen. dyw. Bronisław Duch (w kampanii włoskiej - dowódca 3. Dywizji Strzelców Karpackich),
mąż Autorki Stefan i Wanda Zwierzyńscy.
Od lewej: płk Batory, płk Niedziałkowski, żona gen. Ducha.*

skich Żołnierzy Łączności), Szkole Młodszych Ochotniczek, Kole Porto San Giorgio. Zapalona społeczniczka, czego dała już dowód podczas służby w 2. Korpusie Polskim, przemierzała wytrwale odległość z Reading do Londynu by swym oddaniem nieść przykład koleżankom i kolegom kombatanom. W swym miejscu zamieszkania działa nadal jako wolontariuszka w polskiej parafii katolickiej. Napisała wiele artykułów wspomnieniowych i polemicznych do różnych polskich pism kombatanckich i kobiecych w Wielkiej Brytanii (głównie „Głosu Kobiet”).

Kilka razy odwiedziła Polskę, jest członkiem Sądu Koleżeńskiego ŚZPŻŁ.
Ryszard Piotrowski

ŁĄCZNOŚCIOWA SAGA RODU PIOTROWSKICH

Sztafeta pokoleniowa łącznościowców mojej rodziny nie jest zapewne na tyle barwna i ciekawa, aby ją można było porównywać do historii bogatych tradycji rodzin parających się od pokoleń na przykład nauką, sztuką, medycyną lub reprezentujących zawody prawnicze. Decydując się na tę skromną prezentację brałem głównie pod uwagę fakt, że każda rodzina ma swoje korzenie. Zawsze jest protoplasta, od którego pnie i rozrasta się główna gałąź pokoleniowa rolników, rzemieślników, naukowców, lekarzy, aktorów lub adwokatów. Ale to, czy w rodzinie dochodzi do pokoleniowej kontynuacji konkretnego zawodu lub zainteresowań w dużej mierze zależy od autentycznych więzi, życzliwości i dobrej atmosfery wśród domowników oraz umiejętności przekazywania przykładów i wzorów godnych naśladowania. W mojej rodzinie, na szczęście, tak właśnie się stało.

Żołnierz pierwszy: DZIADEK

Zainteresowanie łącznością, a konkretnie sprzętem telefonicznym i radiowym obecne było w mojej rodzinie od moich najmłodszych lat. Działo się to dzięki ojcu, który był żołnierzem łączności w tworzącym się po 1918 roku Wojsku Polskim.

Po ukończeniu szkoły powszechnej pod koniec 1917 roku ojciec wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) i brał czynny udział w działaniach przeciwko zaborcom na terenie Lublina. W 1918 roku został powołany do służby w 23. pułku piechoty w Lublinie. Po



Obsługa polowej centrali telefonicznej zastawionej z kilku łącznic w 1920 roku.

przeniesieniu do 13. pułku Ułanów Wileńskich⁷ uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej jako kapral łączności. Budował i obsługiwał linie oraz centrale łączności polowej. W 1921 roku po zakończeniu działań wojennych rozpoczął pracę w charakterze montera-telefonisty w dyrekcji Poczty i Telegrafów w Lublinie. W 1924 roku został funkcjonariuszem Policji Państwowej i pracował na stanowisku montera-telefonisty centrali telefonicznej Komendy Wojewódzkiej w Lublinie do końca 1937 roku. W związku z narastającą możliwością wybuchu wojny na początku 1938 roku został służbowo przeniesiony do pracy w Komendzie Wojewódzkiej Policji Państwowej w Nowogrodku. Pracę rozpoczął od udziału w budowie radiostacji krótkofalowej i modernizacji centrali telefonicznej.



*Ojciec Autora
w 1936 roku w mundurze
Policji Państwowej*

We wrześniu 1939 roku po zajęciu naszych wschodnich terenów przez wojska sowieckie został aresztowany i skazany na niewolniczą pracę w łagrach na Syberii. W lutym 1940 roku wywieziono do Kazachstanu całą naszą rodzinę. Po napaści Niemiec na Związek Radziecki w dniu 22 czerwca 1941 roku i zawarciu polsko-sowieckiego układu między rządami RP i ZSRR ojca zwolniono z łagru na mocy tzw. „amnestii”. Zgłosił się wtedy do tworzonej przez generała Andersa Armii Polskiej. Uzyskawszy zgodę na spotkanie z rodziną w drodze do Buzułuku (140 km na wschód od Kujbyszewa) wysiadł z transportu kolejowego i pieszo, po przejściu ponad stu kilometrów, dotarł do miejsca naszego zesłania. Postanowiliśmy wtedy obaj udać się do Armii Andersa, ale upłynęło sporo czasu, zanim otrzymałem odpowiednie zezwolenie i znowu pieszo dotarliśmy z ojcem do odległego o ponad 100 km Aktiubińska, gdzie był punkt rekrutacyjny WP. Spotkał nas tu srogi zawód: u ojca wykryto poważną chorobę serca po pobycie w sowieckim łagrze, ja byłem za młody (miałem dopiero 16 lat) - do wojska nas nie przyjęto. Powróciliśmy do „naszego” kołchozu, gdzie ojciec przebywał do 1946 roku. Po powro-

⁷ 13. pułk Ułanów Wileńskich sformowany w grudniu 1918 roku od początku swego istnienia toczył walki na przemian z rewolucyjnymi oddziałami Rosji i regularnymi oddziałami niemieckimi. W 1919 roku brał udział w zagonie na Mołodeczno i w ofensywie na Mińsk. Przez całe lato 1920 roku toczył zacięte walki z 3. Korpusem Kawalerii Armii Czerwonej dowodzonej przez Gaj-Hana, a w sierpniu i wrześniu uczestniczył w bitwie nad Niemnem i działaniach pościgowych aż do zawieszenia broni 18 października 1920 roku. W okresie międzywojennym stacjonował w Nowej Wilejce. Jego barwy (proporczyki, otoki czapek i lampasy) były różowe.

cie do Lublina podjął pracę na Poczcie Głównej jako magazynier warsztatów remontowych sprzętu łączności. Na tym stanowisku pracował aż do śmierci w 1957 roku.

Za udział w wojnie polsko-bolszewickiej mój ojciec został odznaczony „Medalem Niepodległości” oraz medalami „Dziesięciolecia Niepodległości” i „Polska Swemu Obrońcy”. Posiadał odznakę pamiątkową POW.

Takie były w największym skrócie losy mego ojca. W jego życiorysie wpisane zostało moje dzieciństwo, lata wieku szkolnego i pobyt na zesłaniu w byłym ZSRR. Wizerunek ojca utrwalony w mojej pamięci od najmłodszych lat zawsze związany był ze sprzętem telefonicznym i radiowym, stanowiącym treść jego pracy zawodowej, a mojej dziecięcej i młodzieńczej fascynacji techniką i służbą łączności.

Żołnierz drugi, czyli MOJE fascynacje techniką

Kiedy byłem już na tyle przystosowany do życia, by korzystać z dobrodziejstw nauk pobieranych w szkole podstawowej, wykorzystywałem każdą okazję, by przypatrywać się z bliska urządzeniom i zgłębiać tajemnice ich działania. O ile telefon i sposób przekazywania rozmowy nie cieszył się większym zainteresowaniem z mojej strony, o tyle zachwyt i ciekawość wzbudził pierwszy odbiornik detektorowy, zwany też odbiornikiem kryształkowym, który zobaczyłem w 1932 roku. Widząc moje zainteresowanie techniką łączności, ojciec stopniowo oswajał mnie ze sprzętem łączności i swoją pracą. Mogłem odwiedzać go podczas pełnienia dyżurów w centrali telefonicznej, gdzie przypatrywałem się pracy telefonisty i zagniatwanej sieci sznurów połączeniowych, migoczącym lampkom i opadającym kłapkami. Wielką tajemnicę stanowiło pomieszczenie krosu, w którym panował charakterystyczny łoskot wybieraków i widać było wiele poplątanych, różnokolorowych kabli połączeniowych. W komórce przechowywałem dostarczone przez ojca części aparatów telefonicznych i radiowych. Przyrzekłem sobie wówczas, że gdy dorosnę, to zostanę łącznościowcem i będę, podobnie jak ojciec, telefonistą, a może nawet radiotelegrafistą.

Wybudowanie w 1925 roku w Warszawie pierwszej radiostacji i rozgłośnia radiowej doprowadziło do szybkiego powstania sieci krajowych stacji nadawczych, a to spowodowało, iż radio w latach trzydziestych stało się popularnym środkiem masowej informacji i rozrywki. Cena najtańszych dwu-, trzylampowych odbiorników była bardzo wysoka, dlatego też dużą popularność zdobyły znacznie tańsze odbiorniki detektorowe. Z pomocą ojca zbudowałem taki właśnie detektor kryształkowy. Był to bardzo kapryśny element, wymagający częstego regulowania, to znaczy wyszukiwania ostrzem na powierzchni kryształu

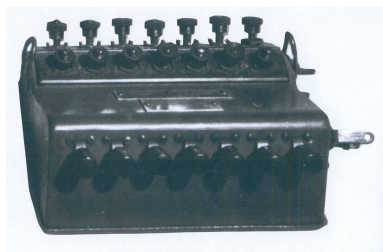
najbardziej czułego miejsca. Jakość kryształu znacznie wpływała na działanie całego aparatu, stąd też w prasie zamieszczane były różnego rodzaju reklamy kryształu radiowego. Nieodzownym elementem odbiornika była zewnętrzna, przynajmniej kilkunastometrowa antena oraz uziemienie. Tego rodzaju aparat nie wymagał żadnego zewnętrznego źródła zasilania, jego słuchawka była zasilana wyłącznie energią wysokiej częstotliwości „złapaną” przez antenę i przekształconą na częstotliwość akustyczną. Jako kilkunastoletni chłopak nie stroniłem od zabaw i gier ze swoimi rówieśnikami, były one jednak uzupełnieniem mojej prawdziwej pasji, jaką była technika łączności i chęć pogłębiania wiedzy i praktyki w zawodzie przyszłego łącznościowca.

17 września 1939 roku do Nowogródka wkroczyły oddziały Armii Czerwonej. Rozpoczęła się okupacja sowiecka, a wraz z nią aresztowania, a potem wywózki Polaków na Syberię i do Kazachstanu. W pół roku po aresztowaniu ojca zostaliśmy zesłani do obwodu aktiubińskiego w Kazachstanie. Skierowano nas z dziewięcioma innymi rodzinami z Nowogrodczyny jako „spiecpieriesieleńców” do kołchozu „Iskra” oddalonego od Aktiubińska o ponad 100 km. Pracowałem w kołchozie przy grabieniu siana, następnie zostałem woźniwą, a gdy nauczyłem się jeździć konno - awansowałem na pomocnika czabana, czyli pastucha koni.

Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej w 1941 roku, dołączeniu do nas ojca i nieudanej próbie wstąpienia do Armii generała Andersa, pracowałem w kopalni węgla. Szczególnie ciężki był okres po zerwaniu stosunków między rządem polskim w Londynie i rządem ZSRR. Nadzieją na poprawę sytuacji i bytu Polaków było wówczas tworzenie 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Rodzice oraz siostra pozostali w Aktiubińsku do 1946 roku, ja natomiast zostałem żołnierzem tworzącego się na terenie ZSRR Wojska Polskiego – tzw. Armii generała Berlinga.

Nie od razu zostałem łącznościowcem, a stało się tak dlatego, że w maju 1943 roku ukończyłem kurs samochodowy i otrzymałem

prawo jazdy. Z tego powodu byłem skierowany do 3. pułku artylerii ciężkiej, gdzie miałem być kierowcą. W rezultacie jednak okazało się, że będę bardziej przydatny jako pomocnik dowódcy plutonu dowodzenia w 2. baterii 5. pułku artylerii ciężkiej. Chociaż zadowolony byłem z tej funkcji, to jednak nie przegapiłem żadnego zajęcia w drużynie łączności. Coś mnie ciągnęło do aparatu te-



Radziecka polowa łącznica telefoniczna KOF-6

lefonicznego, wówczas brzęczykowego. Zazdrościłem kolegom obsługującym sześciocyfrową łącznicę typu KOF-6. Wiedziałem, czułem, że moim powołaniem jest łączność.

Pod koniec lutego 1944 roku zostałem wytypowany na kandydata do Oficerskiej Szkoły Artylerii, choć wielokrotnie prosiłem przełożonych o skierowanie chociażby do szkoły podoficerskiej, byleby była to szkoła łączności. Na upartego nie było rady, prośbę uwzględniono i zostałem zakwalifikowany jako kandydat do Oficerskiej Szkoły Łączności w Muromiu. Po dwumiesięcznym pobycie w niej wyjechałem do Riazania, gdzie w Centralnej Szkole Podchorążych WP sformowana została kompania łączności.

Rozpoczął się normalny proces szkolenia przewidziany na sześciomiesięczny program czasu wojennego. Szkolny rozkład dnia przewidywał dziesięć godzin nauki i dwie godziny obowiązkowej nauki własnej, nie licząc oczywiście czasu wolnego, który również poświęcony był nauce. Dawał się odczuć brak zgodności pomiędzy bogactwem materiału programowego z przedmiotów ścisłych, a ubogim zasobem wiedzy teoretycznej. Szczególnie matematykę, fizykę i chemię trzeba było opanować od podstaw, w ogólnych przynajmniej zarysach. Kosztem czasu wolnego i snu nadrabiałem braki. Ze wszystkich przedmiotów najbardziej lubiłem zajęcia teoretyczne i praktyczne z organizacji łączności. Moje notatki i prace na mapach z odpowiednią dokumentacją graficzną były wysoko cenione przez wykładowców tego przedmiotu.

Bardzo szybko nadeszła pora zdawania egzaminów, a następnie uroczysta promocja, która odbyła się 20 października 1944 roku, i wyjazd do Lublina, gdzie mieściło się Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego. Po upływie sześciu i pół roku byłem znowu w swym rodzinnym mieście, już jako oficer WP.

12 listopada 1944 roku znalazłem się w grupie dwudziestu oficerów, którzy otrzymali zadanie organizowania Oficerskiej Szkoły Łączności w Zamościu. Zostałem dowódcą plutonu w kompanii podchorążych. Przybyli do Szkoły na stanowiska kierowników cykli i wykładowców oficerowie radzieccy bardzo chętnie korzystali z konspektów, notatek oraz innych materiałów przywiezionych przez absolwentów riazańskej kompanii łączności. Kierownik cyklu służby łączności przypadkowo zapoznał się z moimi notatkami i dokumentami wykonywanymi na zajęciach z tego przedmiotu. Od tej pory moje zapiski zrobiły swego rodzaju karierę, a star-



Autor w 1945 roku

szy wykładowca cyklu gorąco namawiał mnie do zainteresowania się problematyką tego przedmiotu. Argumenty te okazały się tak skuteczne, że po przeniesieniu Szkoły z Zamościa do Sieradza w grudniu 1945 roku, zostałem wykładowcą służby łączności, a później taktyki wojsk łączności. Przeszło pięć lat pracowałem w Oficerskiej Szkole Łączności na stanowisku starszego wykładowcy. Byłem zadowolony z tej pracy, a pracochłonne i uciążliwe pisanie konspektów, założeń i opracowań metodycznych do wykładów i ćwiczeń nie odstręczało mnie od tej pracy.

Pokonując trudności związane ze stałym brakiem czasu doczekałem chwili, kiedy trzeba było rozliczyć się również z wiadomości nabytych w wieczorowym liceum sieradzkim. Egzamin maturalny zdałem i w czerwcu 1951 roku otrzymałem upragnione świadectwo maturalne. Zacząłem więc poważnie myśleć o następnym etapie edukacji i życia prywatnego. W lipcu dowiedziałem się, że zostałem wyznaczony na stanowisko wykładowcy taktyki łączności w powstającej Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie. Przedmiot miał na celu przygotowanie przyszłych oficerów – inżynierów łącznościowców – do organizowania i eksploatacji polowych systemów łączności. Odpowiadało mi to, gdyż nade wszystko ceniłem w pracy dynamikę. Zajęcia z taktyki łączności, a szczególnie ćwiczenia w polu ze środkami łączności stwarzały mi takie możliwości.



Autor w 1967 roku

Ponieważ warunki pracy układały się po mojej myśli, mogłem zrealizować następny ważny cel życiowy. 13 października 1951 roku zawarłem związek małżeński z łodzianką Ireną Chorażak. Pierwszy syn – Jarosław urodził się 20 czerwca 1952 roku, drugi – Dariusz 17 czerwca 1964 roku. W 1953 roku podjąłem studia wyższe na wieczorowym fakultecie Akademii Sztabu Generalnego WP, które ukończyłem w 1957 roku uzyskując tytuł oficera dyplomowanego. W latach 1967 – 1975 pracowałem w Sztabie Generalnym WP na stanowisku specjalisty do spraw łączności i radiolokacji, a następnie – do końca zawodowej służby wojskowej – ponownie w Wojskowej Akademii Technicznej.

Żołnierz trzeci: MÓJ SYN

Od najmłodszych lat starałem się ukierunkować zainteresowania starszego syna Jarosława na technikę łączności. Podobnie jak kiedyś mój ojciec przynosiłem i gromadziłem aparaty telefoniczne i części radiowe. Dostępne w latach sześćdziesiątych w Centralnej Składnicy

Harcerskiej mieszczącej się na ulicy Marszałkowskiej różnego rodzaju składniki najprostszych odbiorników radiowych, telefonów i radiostacji krótkofalowych znacznie ułatwiały tę naukę. Ważną rolę pod tym względem odgrywały również różnego rodzaju czasopisma dziecięce i młodzieżowe. Bardzo popularny był *Młody Technik* i *Kalejdoskop Techniki*, które wykorzystywałem do stopniowego wprowadzania w świat techniki młodego człowieka, w którym widziałem kontynuatora rodzinnych tradycji łącznościowych. Być może właśnie dzięki temu syn ukończył Technikum Radiowe im. Marcina Kasprzaka w Warszawie, a następnie rozpoczął studia na Wydziale Elektroniki Wojskowej Akademii Technicznej, które ukończył w 1979 roku.



*Syn Autora – Jarosław
w stopniu porucznika.*

Pierwsze kroki jako młody podporucznik magister inżynier stawił w modlińskim pułku łączności, gdzie odbywał praktykę dowódczą na stanowiskach dowódcy plutonu i kompanii. Występujące wówczas trudności związane z eksploatacją sprzętu łączności przeważnie starej generacji, zmuszały łącznościowców, a szczególnie młodych inżynierów, do szukania rozmaitych sposobów zwiększających ich funkcjonalności i przedłużających żywotność. Udział w różnego rodzaju pracach racjonalizatorskich i pomysłach usprawniających sprzęt i systemy eksploatacji rozwinął i poszerzył zasób wiedzy młodego łącznościowca, co bardzo przydało mu się na kolejnych inżynierskich stanowiskach Węzła Łączności MON i Centralnego Węzła Łączności MON im. prof. Kazimierza Drewnowskiego. Zamiłowanie do pracy koncepcyjnej, mającej na celu usprawnienie i unowocześnienie systemów telekomunikacyjnych MON na terenie garnizonu Warszawa, zaowocowało całkowitą wymianą elektromechanicznych central telefonicznych na elektroniczne centrale typu E 10 oraz pełną cyfryzację systemu teletransmisyjnego opartego na światłowodowych liniach kablowych.

W następnych latach Jarosław był w stopniu pułkownika szefem Oddziału Dowodzenia i Łączności Dowództwa Garnizonu Warszawa.

W ostatnich latach sieciowe usługi telekomunikacyjne radykalnie się zmieniły, głównie skutkiem rozpowszechnienia się Internetu. Zmieniające się uwarunkowania prawne i technologiczne wymogły zarówno organizacyjne jak i systemowe zmiany. Wymusiło to utworzenie instytucji posiadającej kompetencje oraz niezbędny potencjał intelektualny i techniczny, a także zdolność do zarządzania systemem tworzącym przestrzenną strukturę organizacyjną. Taką instytucją, w której obecnie pracuje Jarosław już jako pracownik cywilny, jest Cen-

trum Zarządzania Systemami Teleinformatycznymi MON. Jest ono pierwszym elementem jednolitej struktury stacjonarnego systemu teleinformatycznego Sił Zbrojnych RP. Funkcjonujące przez całą dobę komórki organizacyjne Centrum są odpowiedzialne za monitorowanie wszystkich systemów i kierowanie naprawami, pełniąc jednocześnie rolę „Help Desk” dla użytkowników i podległych elementów systemu teleinformatycznego Sił Zbrojnych RP.

Na przykładzie przekazów sztafety pokoleniowej mojej rodziny łącznościowej widać, jak wielki dokonał się rozwój techniki i myśli naukowej w dziedzinie szeroko pojętej komunikacji społecznej u podstaw której legły pierwsze urządzenia elektroniczne w postaci aparatów telefonicznych i radiowych oraz kablowych i napowietrznych linii łączności polowej i stacjonarnej. Jestem pewien, że nie jest to już szczyt osiągnięć w dziedzinie systemów teleinformatycznych, gdyż jeszcze nie zostały wyczerpane możliwości nowych środków społecznego komunikowania.

Pokolenie czwarte: WNUKOWIE



Wnuk Artur

Mój starszy wnuk Artur swoją przygodę z łącznością rozpoczynał w sposób charakterystyczny dla naszej rodziny i przekazywany z pokolenia na pokolenie. Podglądał jak jego ojciec w latach osiemdziesiątych składał swój pierwszy komputer typu Z-80. Z lubością wykorzystywał momenty nieuwagi, by porzucić z trudem zdobywane części. Pierwsze doświadczenia ze skomplikowaną materią łączności małego Arturka miały miejsce na sali stojaków centrali biegowej typu Siemens, gdzie paluszkami próbował zatrzymać pracujący wybierak, a sam ruch i hałas na centrali, zamiast strachu, wywoływały u niego zainteresowanie i chęć poznania, nawet za cenę bólu.

Po okresie rozterki związanej z wyborem przyszłego zawodu, wstąpił jednak na ścieżkę kontynuacji tradycji rodzinnych, ale już w nowoczesnym wydaniu i ukończył Wyższą Szkołę Informatyki Stosowanej i Zarządzania pod auspicjami Polskiej Akademii Nauk - na kierunku teleinformatyka. Po studiach rozpoczął pracę w firmie Netia SA, która jest drugim co do wielkości operatorem telefonii stacjonarnej w Polsce.

Młodszy wnuk Robert jest studentem Akademii Obrony Narodowej w Rembertowie na kierunku Bezpieczeństwo Narodowe. Problematyką obronności zainteresował się po zamachach terrorystycznych w Nowym Jorku i Madrycie skupiając się na funkcjonowaniu systemów bezpieczeństwa.

Robert jest przekonany, że bezpieczeństwo narodowe nie może być zrealizowane bez użycia najnowszej technologii związanej z łącznością. Szybka i niezawodna komunikacja jest podstawą budowy współczesnych systemów wykorzystywanych w biurach i wydziałach ds. bezpieczeństwa, a także w najwyższym stopniu w tworzonych na wypadek pewnych zagrożeń dla państwa – sztabach kryzysowych. Ta sama zależność pomiędzy dbaniem o bezpieczeństwo, a łącznością stanowi współcześnie podstawę utrzymania stabilności zarówno regionalnej, jak i globalnej.

Robert uważa, że dzięki zdobytej na uczelni wiedzy oraz doświadczeniu swojego dziadka, ojca i brata – ma możliwość realizacji marzenia, jakim jest praca na rzecz zapewnienia bezpieczeństwa narodowego z uwzględnieniem szerokiego wykorzystania nowoczesnych systemów teleinformatycznych.

Wszystko wskazuje na to, że rodzinne tradycje żołnierskie i łącznościowe będą w mojej rodzinie zachowane.

Od Redakcji:

Pan płk dypl. Ryszard Piotrowski urodził się 25 sierpnia 1925 roku w Lublinie. Wywieziony jako 14-letni chłopiec wraz z rodziną w lutym 1940 roku przez NKWD do Kazachstanu spędził tam ponad trzy lata. Dowiedziawszy się o tworzącym się w ZSRR Wojsku Polskim poprosił radziecką milicję o tzw. „udostowierenię” – poświadczenie tożsamości umożliwiające poruszanie się po obszarach Związku Radzieckiego. Otrzymał go po kilku miesiącach starań i pieszo dotarł razem z ojcem do rejonu werbowania Wojska Polskiego, ale ze względu na młody wiek i chorobę ojca musieli obaj zostać w Kazachstanie. Swe wspomnienia z zesłania zamieścił w wydanej w 1991 roku książce „Smak kazachstańskiego piołunu”. W 1943 roku przedostał się do Sielc do 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Rok później został w Riazaniu promowany na stopień podporucznika Wojska Polskiego i jest obecnie najstarszym oficerem łączności z wojska formowanego na Wschodzie. Wychowawca kilku pokoleń oficerów łączności kształconych w ostatniej fazie drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu w Oficerskich Szkołach Łączności w Zamościu i Sieradzu, a następnie Wojskowej Akademii Technicznej.



Wnuk Robert

Obecnie jest przewodniczącym Rady Światowego Związku Polskich Żołnierzy Łączności, przewodniczącym Rady Związku Sybiraków Województwa Mazowieckiego i prezesem Zarządu Oddziału Warszawskiego Związku Sybiraków. Jest także aktywnym członkiem Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych i Oficerów Rezerwy Wojska Polskiego (drugą kadencję pełni funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Koła Nr 41 przy Zarządzie Planowania Systemów Dowodzenia i Łączności Sztabu Generalnego WP).

Odnaczony Krzyżami Oficerskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Zesłańców Syberyjskich, medalami: „Zasłużonym na Polu Chwały”, „Zwycięstwa i Wolności”, „Za Warszawę 1939 – 1945”, „Za Odrę, Nysę, Bałtyk”, „Za Udział w Walkach o Berlin” oraz licznymi odznaczeniami resortu obrony narodowej.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

W ostatnim okresie odeszli na „wieczną wartę” nasi Koledzy, którzy swą pełną zaangażowania pracą społeczną w Związku zdobyli sobie stałe miejsce w naszej pamięci. Poniżej podajemy w porządku alfabetycznym krótkie notki biograficzne niektórych z Nich.

Pan st. sierż. Zygmunt Hirnle urodził się 2 maja 1922 roku w Kołomyi. Jego ojciec legionista został zamordowanym w 1941 roku przez NKWD. W 1944 roku wstąpił ochotniczo w Żytomierzu do 1. samodzielnego pułku łączności WP, z którym przeszedł jako telefoniści i radzista szlak bojowy od Bugu do Łaby. Po wojnie ukończył szkołę szyfrów i w stopniu chorążego służył w Sztabie 14. Dywizji Piechoty w Siedlcach. Po sfabrykowanych oskarżeniach został zdegradowany do stopnia starszego sierżanta i zwolniony z wojska. Ukończył wówczas technikum telekomunikacyjne w Poznaniu i do 1986 roku pracował w Okręgu Zielona Góra PPTT w Sulechowie. Od 1993 roku był członkiem ŚZPŻŁ.

Był odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, medalami „Zasłużonym na Polu Chwały”, „Za Warszawę 1939 - 1945”, „Za Odrę, Nysę, Bałtyk” oraz innymi odznaczeniami resortów obrony narodowej i łączności.

Zmarł w 2007 roku w Sulechowie koło Zielonej Góry.

Pan Stanisław Kaczkan pseudonim „Pączek” urodził się 2 października 1926 roku w zaścianku Jarnoszyski w powiecie święciańskim w woj. wileńskim. Mając 17 lat wstąpił w 1943 roku do Armii Krajowej na wileńszczyźnie. Brał udział w kilku potyczkach swego oddziału z okupantem niemieckim, a wiosną 1945 roku – także z wojskami NKWD. Po wojnie pozostał na Litwie mieszkając w Wilnie.

Odznaczony londyńskim Krzyżem Armii Krajowej i Medalem Wojska. Był wiceprezesem Klubu Weteranów Polskich na Litwie. Od 1995 roku był członkiem SZPŻŁ.
Zmarł w 2003 roku w Wilnie.

Pan płk Mieczysław Kluka urodził się 10 lutego 1921 roku w Krakowie. W maju 1939 roku przed wybuchem drugiej wojny światowej ukończył liceum ogólnokształcące uzyskując maturę. W czasie okupacji pracował fizycznie. Jeszcze w czasie trwania wojny został w kwietniu 1945 roku powołany do służby wojskowej i skierowany do 2. zapasowego pułku łączności, a następnie do Oficerskiej Szkoły Łączności w Zamościu, którą ukończył w maju 1946 roku otrzymując promocję na stopień podporucznika już po przeniesieniu Szkoły do Sieradza. Awansując kolejno do stopnia pułkownika przeszedł drogę od zastępcy dowódcy kompanii do dowódcy 1. pułku łączności, którym był przez prawie 8 lat. Ukończył w tym czasie roczne kursy doskonalenia w Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie oraz w Akademii Łączności Armii Radzieckiej w Petersburgu (wówczas Leningradzie). Po przejściu w stan spoczynku w końcu 1977 roku jeszcze ponad pięć lat piastował stanowisko starszego radcy w Departamencie Spraw Obronnych Ministerstwa Komunikacji.

Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym i Srebrnym Krzyżami Zasługi, medalem „Za Udział w Walkach o Berlin” oraz licznymi medalami resortowymi. Współzałożyciel Światowego Związku Polskich Żołnierzy Łączności. Przez 10 lat był przewodniczącym Sądu Koleżeńskiego naszego Związku.

Zmarł 11 stycznia 2008 roku w Otwocku. Pochowany z ceremoniałem wojskowym na Powązkach Wojskowych w Warszawie.

Pani mjr Elżbieta Ostrowska z domu Gross pseudonim "Ela" urodziła się 1 czerwca 1923 roku w Warszawie. Przed wojną była harcerką, od jesieni 1939 - żołnierzem SZP, ZWZ i AK. W czasie okupacji rozpoczęła studia na Wydziale Lekarskim tajnego Uniwersytetu Warszawskiego. Referentka łączności Wojskowej Służby Kobiet, w Powstaniu Warszawskim była dowódcą Okręgowej Składowicy Meldunkowej "S" w Alejach Jerozolimskich oraz kierowniczką łączności kanałowej Warszawa - Południe. W nocy 6 sierpnia wraz z Marią Domińską - Klimunt - "Marysią" przeszła kolektorem "C" (pod niemiecką dzielnicą policyjną) i niskimi kanałami (pod Rakowiecką i al. Niepodległości) ze Śródmieścia na Mokotów nawiązując stałą łączność kanałową z tą izolowaną w pierwszych dniach Powstania dzielnicą. Awansowana w 1944 roku do stopnia podporucznika, po Powstaniu Warszawskim internowana w oflagu IX C w Rotenburgu. Po wyzwoleniu była oficerem łącznikowym do spraw Armii Krajowej w Polskiej Misji Wojskowej w Paryżu. Odznaczona Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Mili-

tari, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Walecznych, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Armii Krajowej, Warszawskim Krzyżem Powstańczym, Krzyżem Partyzanckim, Medalem Wojska, medalami „Za Warszawę 1939 - 1845”, „Zwycięstwa i Wolności” i innymi.

Po powrocie do kraju podjęła pracę społeczną i literacką, jest autorką znanych książek: "W Alejach spacerują *Tygrysy*", „A wolność była wśród drutów”, „Miecz wzniesiesz albo tarczę”, „Z tajemnic powstańczej Warszawy. Kanały. Łączność dowodzenia i ewakuacje na trasach południowych" oraz licznych artykułów prasowych, wywiadów, prelekcji, audycji, spotkań autorskich. Należała do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Od 1993 roku była członkiem ŚZPŻŁ.

Zmarła 15 listopada 2007 roku w Warszawie. Pochowana z honorami wojskowymi w rodzinnym grobowcu na Starych Powązkach.

Pan plut. Antoni Ponikowski pseudonim „Szary” urodził się 14 czerwca 1915 roku w Trzciance w woj. kieleckim. Po ukończeniu gimnazjum księży salezjanów w Daszewie koło Stryja został w 1938 roku powołany do wojska. Służbę odbywał w pułku radiotelegraficznym w Warszawie. Po ukończeniu pułkowej szkoły podoficerskiej był radiotelegrafistą na jednej z dwu radiostacji typu „W”. Po wybuchu drugiej wojny światowej jego radiostacja od 1 do 6 września 1939 roku pracowała w Sztapie Naczelnego Wodza, a po przeniesieniu się Naczelnego Wodza do Brześcia nad Bugiem – w Dowództwie Obrony Warszawy. Po kapitulacji stolicy wrócił do rodzinnego domu na Kielecczynę gdzie działał w ZWZ i AK, a następnie w Batalionach Chłopskich. W tym czasie zorganizował i prowadził tajne nauczanie na terenie Nowej Słupii. Po wojnie ukończył studium pedagogiczne i przez 31 lat pracował jako nauczyciel w szkole podstawowej.

Działał społecznie w ruchu ludowym oraz Związku Nauczycielstwa Polskiego. Zorganizował i prowadził towarzystwo kulturalne Przyjaciół Nowej Słupii.

Odnaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi i Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami, medalem „Za Udział w Wojnie Obronnej 1939 Roku”, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, „Odznaką ZNP za Tajne Nauczanie” i innymi. Od 1994 roku był członkiem ŚZPŻŁ.

Zmarł na początku 2007 roku w Nowej Słupii.

Pan płk Tadeusz Skoczek urodził się 3 czerwca 1924 roku w Bochni. Powołany do wojska w lipcu 1945 roku został skierowany do Oficerskiej Szkoły Łączności w Zamościu. Już w październiku 1945 roku Szkołę przeniesiono do Sieradza i tu w 1947 roku otrzymał promocję na stopień podporucznika. Objął wtedy stanowisko wykładowcy, a następnie starszego wykładowcy w Oficerskiej Szkole Łączności, później Oficerskiej Szkole Łączności Przewodowej w Sieradzu, a od listopada 1955 roku w Oficerskiej Szkole Łączności w Zegrzu awansując kolejno aż do stopnia pułkownika. W 1966 roku zo-

stał przeniesiony do Szefostwa Wojsk Łączności MON, a w 1972 roku do Dyżurnej Służby Operacyjnej Sztabu Generalnego WP. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi oraz licznymi medalami resortowymi.



Logo SZPŻŁ

Członkiem Światowego Związku Polskich Żołnierzy Łączności został w 1993 roku, a od I Walnego Zjazdu Związku w sierpniu tegoż roku nieprzerwanie był członkiem Zarządu Głównego. Jest autorem logo naszego Związku. Był inicjatorem i jednym z głównych organizatorów kolejnych Zjazdów Wychowanków i Wychowawców Oficerskich Szkół Łączności w latach 1998, 1999 i 2005 w Sieradzu oraz Koleżeńskiego Zjazdu Wszystkich Pokoleń Łącznościowców w 2006 roku w Białobrzegach i Zegrzu.

Zmarł 5 czerwca 2008 roku w Warszawie i został z honorami wojskowymi pochowany w grobie rodzinnym na cmentarzu parafialnym na Okęciu w Warszawie.

Pan płk mgr inż. Jan Sobotka urodził się 10 października 1949 roku w Szelkowie Starym w woj. mazowieckim. Ukończył Wojskową Akademię Techniczną, wyższy kurs doskonalenia oficerów, międzynarodowy kurs prawa wojennego, międzynarodowy kurs oficerów sztabu w Holandii i kurs operacji pokojowych ONZ, a także dyplomowe studium operacyjno - strategiczne w Akademii Obrony Narodowej.

Karierę zawodową rozpoczął w stopniu podporucznika jako dowódca plutonu w 61. pułku artylerii Wojsk Obrony Przeciwlotniczej, następnie był dowódcą dywizjonu ogniowego w tym pułku, a wreszcie zastępcą dowódcy 61. Brygady Artylerii Przeciwlotniczej ds. szkolenia. W latach 1991 – 1996 był dowódcą 5. pułku radiotechnicznego. Pracował także w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego i w Dowództwie Wojsk Lądowych na stanowisku zastępcy szefa Zarządu Dowodzenia i Łączności. W latach 2002 – 2004 był szefem Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Łodzi i dowódcą Garnizonu Łódź, a od 2004 roku dowódcą 15. Brygady Wsparcia Dowodzenia w Sieradzu. Był niezawodnym kolegą, przyjacielem i opiekunem weteranów łączności i informatyki wojskowej.

Uchwałą V Walnego Zjazdu naszego Związku przyznano mu 10 czerwca 2006 roku tytuł Honorowego Członka SZPŻŁ. Był odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi i innymi medalami.

Zmarł nagle 3 grudnia 2007 roku w Warszawie. Pochowany z honorami wojskowymi w Zgierzu.

Pan kpt. mgr Aleksander Szkuta urodził się 27 lutego 1924 roku w Zamościu. Deportowany w 1940 roku przez NKWD na Syberię pod Swierdłowsk był po tzw. „amnestii” przetrzymywany bezprawnie do października 1941 roku przy wyrębie lasu. Do Armii Polskiej wstą-

pił w marcu 1942 roku i został przydzielony do 7. kompanii łączności w 7. Zapasowej Dywizji Piechoty, z którą ewakuował się do Iranu, a następnie w 11 batalionie łączności przeszedł kampanię włoską 1944 – 45 roku od Monte Cassino aż do Bolonii pracując na różnych radiostacjach i centralach telefonicznych, w rym radiostacjach odkomenderowanych do korpusu włoskiego, potem do brygady hinduskiej czasowo podporządkowanych dowódcy 2. Korpusu Polskiego. Jednocześnie uczył się w Szkole Podchorążych Rezerwy Łączności. Po zakończeniu działań wojennych uczył się w polskiej szkole średniej na Kursach Maturalnych Nr 1 w Alessano w prowincji Lecce na południu Włoch, a po przetransportowaniu do Anglii – w Cawthorne, gdzie w 1946 roku otrzymał świadectwo dojrzałości. W tym czasie został promowany na stopień podporucznika ze starszeństwem od 1 lipca 1945 roku.

Po demobilizacji w 1948 roku ukończył wieczorowe kursy bankowości i księgowości i do przejścia na emeryturę w 1984 roku pracował w brytyjskim banku oszczędnościowym. Ukończył w 1959 roku Polski Uniwersytet na Obczyźnie w Wielkiej Brytanii uzyskując tytuł mgr filozofii w zakresie historii. Później w latach 1988 – 2005 był na tym Uniwersytecie wykładowcą. Był prezesem Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii, wiceprezesem Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, członkiem Rady Studium Polski Podziemnej w Londynie, a od 1998 roku prezesem Związku Łącznościowców. W 2001 otrzymał awans do stopnia kapitana

Odnaczony Krzyżami Oficerskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Monte Cassino, Krzyżem Armii Krajowej, Krzyżem Bojowym Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, Medalem Wojska i Złotym Medalem „Za Zasługi dla Obronności Kraju” oraz brytyjskimi: 1939 – 45 Star, Italy Star, Defence Medal, The War Medal 1939 – 45. Posiadał Honorowe Obywatelstwo miasta Alessano.

Zmarł 16 lutego 2008 roku w Londynie i tam został pochowany⁸.

Pan ppłk mgr Jan Wojtera urodził się 14 kwietnia 1924 roku w Kłudnej koło Łęczycy. Do wybuchu wojny uczęszczał do szkoły podstawowej, a następnie gimnazjum włókienniczego w Łodzi. W 1940 roku jako 16-letni chłopiec został wywieziony do Niemiec, gdzie pracował w gospodarstwie rolnym aż do końca drugiej wojny światowej. Po powrocie do kraju został powołany w sierpniu 1945 roku do służby wojskowej, którą odbywał jako pisarz w Wytwórni Filmowej Wojska Polskiego, a następnie w Sztabie Generalnym WP. Po zakończeniu w 1947 roku zasadniczej służby wojskowej przez 3 lata pracował w zakładach przemysłu włókienniczego w Łodzi, kończąc jedno-

⁸ Obszerniejsze wspomnienie o panu kpt. Aleksandrze Szkucie – prezesie Związku Łącznościowców w Londynie, zamieścimy w Komunikacie Nr 20.

cześnie liceum ogólnokształcące. W październiku 1951 roku wstąpił ponownie do wojska. Odbił kurs w Ośrodku Przeszkolenia Oficerów Politycznych w Łodzi i po promocji na stopień podporucznika objął stanowisko zastępcy dowódcy kompanii, a po rocznym kursie KDO przy Wojskowej Akademii Politycznej pełnił przez 19 lat funkcję zastępcy komendanta Kursu Przeszkolenia Oficerów Rezerwy w Oddziale V Sztabu Generalnego WP, a następnie w Szefostwie Wojsk Łączności MON. Ukończył w tym czasie studia wyższe uzyskując tytuł magistra pedagogiki. Był członkiem założycielem Światowego Związku Polskich Żołnierzy Łączności.

Odnaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Złotą Odznaką „Za Zasługi dla Warszawy” oraz licznymi medalami resortowymi.

Zmarł 11 stycznia 2008 roku w Warszawie. Pochowany z ceremoniałem wojskowym na Cmentarzu Komunalnym Północnym na Wólce Węglowej w Warszawie.